

## Pociągi

„Ćma leci do płomienia”. Od tej myśli zaczęło się pisanie. O ósmej trzydzięci pierwszy środek lokomocji, ostatnie czterdzieści minut z dala od całodobowych sklepów i całodobowych latarni. Właściwie zaczynało się już na przystanku, właściwie wszystko na nim się zaczynało – każda podróż, każde pożegnanie. Niekoniecznie związane z tym co teraz. Jesienią, zimą, wczesną wiosną. Była już noc, a latarnie postawiono o kilka metrów za daleko, żeby rozróżnić twarze. W głębi przystanku były tylko bezosobowe formy wypełnione rozmowami o pogodzie i wszystkim. Niewidoczność pozbawiała głosu, punktu odniesienia, nie można było rozróżnić, czy to, co ktoś mówi, było nieskończenie głupie, czy – głębokie i mądre. Brak twarzy rozmówcy, brak odbicia własnej twarzy i przeswiadczenie o rozmazującej konkrety czerni sprawiały, że po kilku minutach rozmowa stawała się niczym intymne wyznania w tokszołach. Tyle że bez prowadzącego. Wszyscy byli gośćmi, nikt publicznością. Każdy coś znajdował: alkoholizm męża lub przynajmniej szwagra, syna złodzieja czy wnuczkę puszczałską.

Kiedy autobus już nadjechał, ludzie zajmowali miejsca po przeciwległych końcach, zawstyżeni tym, co robiła z nich noc. Człowiekowi wystarczy brak kilku pewników, kolorów, kształtów, które mógłby w każdym momencie zweryfikować i poczuć się przez to bezpieczniej. Wystarczy zanik dwóch, trzech fundamentów postrzegania, aby reszta również znikła. Introwersja staje się nie do zniesienia, potrzeba wyrzucić z siebie to wszystko, co wypełnia jasne dni.

Bombel prawie zawsze przychodził po fajkę, życzyć szczęścia i żebym pozdrowił, kogo trzeba. O tak późnej godzinie, która dla Bombla była osobnym czasem, pijący z mojej wsi ślęczeli przed barem, bo szef zabronił im pić w środku. Piotrek przychodził czasami, niby po Bombla, i przy okazji wyciągał ode mnie szluga albo dwa. W zasadzie widywałem go wtedy rzadko, bo zazwyczaj starał się zasypiać przed nadejściem zmroku. Miał rodzaj umysłowej kurzej ślepoty. I mówił, że wystarczy mu życia w dzień, wołał zdążyć znieczulić się przed mrokiem.

Poza nimi, więksim marginesem, o wpół do dziewiątej nikt inny się nie płątał. Ludzie w domach oglądają sensacyjne filmy produkcji USA, dojenie kończy się obowiązkowo przed *Wiadomościami*. Godzina wpisana w kanon codziennych spraw, niezmienna i niepodlegająca dyskusji niczym niedzielna wyprawa do kościoła. Czarna dziura wysysająca wydarzenia trwa do około dziesiątej, chyba że film jest kiepski i przegadany. Na każdym domu zawieszona jest antena satelitarna, żeby dzieci uczyły się języka, bo to teraz podstawa. I komputery. Można wziąć na raty. Osiemset pięćdziesiąt sześć programów pozwala wypełnić resztkę wolnego czasu i dostrzec inne światy. Amerykański film i transmisja z rozdania nagród przemysłu fonograficznego semantycznie są sobie równe,

tak samo nierealne, niepojęte. Przez okna prześwitują fluorescencyjne ekrany telewizorów na pilota, prawie nigdzie nie świeci światło. I cisza, bo jednostajne buczenie transformatorów i latarni swą monotonią przenika i wzmacnia jej pisk. Kiedy jest ciemno, góry przypominają opadłe nad widnokręgiem cirkokomulusy, napęczniałe od śniegu i kryształków lodu. Linia horyzontu nie istnieje i nic nie oddziela już ziemi od nieba. Wszystko jest wtedy metaliczne i infernalne. Rzeczy ukazują swoje drugie spełnienie, doznawane jedynie na pograniczu światła i ciemności. Te miejsca, w których brakuje odbitych promieni światła, zajmuje wyobraźnia – doskonale dopasowana układanka, w której każdemu wychodzi coś innego.

Autobus najpierw słychać, potem robi się jaśniej, a odgłos schodzi o tercję niżej. Wynurza się z ciemności, przyjeżdża z czarnego niebytu, a w środku prócz celniczki z pobliskiej granicy nie ma nikogo. Światła rozpuszczają mrok, słup przybiera formę wydłużonego stożka o kolistej podstawie. Kiedy już się zatrzyma – nie widać nic, tylko dwa jarzące bielą koła reflektorów. Prostokątna skrzynia hermetycznie oddzielająca ludzi od świata. Kierowcy palą papierosy, wydychają dym do otwartej bocznej szyby, bo zasadniczo nie można palić wewnątrz państwowej komunikacji samochodowej. Czterdzieści pięć minut – jak w zegarku. Zima wydłużała ten czas, podobnie jak i kilka innych. Kierowcy byli wtedy skupieni, bo zaraz za tablicą obwieszczającą koniec terenu zabudowanego zaczynał się stromy podjazd z ośmioma ostrymi serpentynami. Ściszała muzykę, która leciała z entej kopii kasety regionalnego zespołu disco polo: *Pogórzanie: weseła, studniówki, imprezy okolicznościowe*. Antena nie wyłapywała nic polskojęzycznego, a kierowcy to patrioci. Prawie wszyscy kierowcy tego słuchali – poza jednym. Widziałem go rzadko, bo zazwyczaj obsługiwał inną trasę. Mówili na niego Szczypior, miał zęby jak rosyjski mafioso i nordycką, surową mordę esesmana. Kiedy on prowadził, młodzież dojeżdżająca do szkoły siedziała jak w kościele na pierwszych ławkach, zaraz przed prezbiterium. Wszyscy ci buntownicy, anarchiści, skinheadzi, hipisi siedzieli cichutko, bo ich bunt nie był na tyle zdeterminowany, żeby w jego imię dymać trzydzieści kilometrów na piechotę. Pierwszy kontakt z rzeczywistością, która niszczy wszelki idealizm. Szczypior słuchał glam rocka. Miał jedną kasetę golden albo greatest hits, która zawierała niemalże całe lata siedemdziesiąte: Suzi Quatro, Mud, T.Rex, Glitter, Slade. Szczypior uśmiechał się do siebie metalicznym grymasem przy brzmieniach, które tak lubił i z którymi nie rozstawał się nawet w pracy.

Kiedy padał lekki śnieg, już bardziej romantycznie być nie mogło. Światła materializowały nieskończoność pojedynczych płatków w obrębie słupa jasności, przechodzącej płynnie i niezauważalnie w noc. Światło rozpuszczało się w swym przeciwieństwie, które teraz było jednocześnie jego dopełnieniem. Za oknem nie było nic w zimie, bo zazwyczaj noce są przejrzyste, lepkie jak gęsty sok z czernic. Ostatnie minuty obecności gór miały na wpatrywaniu się w szybę, ponad którą kierowcy wieszali kolorowe proporczyki: klubu sportowego „Glinik”, „I Pielgrzymki Jana Pawła II do Ziemi Ojców”, przylepiali naklejki: „Yamaha”, „Ford”, „Kawasaki” i że „Rozmowa z kierowcą zabroniona”.

Droga przez półtora kilometra w górę wiodła niby donikąd. Las otwierał się z przodu i zamykał z tyłu. Był kierowca, las, ciemność, kilku zgubionych pasażerów i bezpieczny oraz ciepły autobus. Poza tym nic więcej. Żadnych zbędnych myśli czy uczuć, metafizyka okazywała się prosta i jej zrozumienie również. Droga znikąd donikąd. Kiedy zjeżdżano się z góry, dom zostawał po drugiej stronie cywilizacji, a na samym dnie doliny świeciły okna murowanej cerkwi. Potem były jeszcze dwie: murowana po prawej i drewniana po lewej. A potem już nic.

Kolejne dwadzieścia minut kluczyliśmy przez przydrożne wsie, wszystkie do siebie podobne i niemożliwe do zapamiętania przez człowieka, który widzi je po raz pierwszy.

Sklep stoi zazwyczaj przy krzyżowce, cerkwie lub kościeł gdzieś z boku, a szkoła, jeśli jest, to pomiędzy. Plus kilka dodatków do stałego konstrukcyjnego szkieletu lub minus to, co jest, i wtedy zostają tylko domy. Swoisty rodzaj pozornej identyczności miesza rzeczy tak podstawowe jak kierunki świata.

Autobus wjeżdża w dolinę, a obniżenie można było poczuć we własnym żołądku. To właśnie było miasto. Zaczynało się rzędem przydrożnych latarni ustawionych w jednakowej odległości od siebie. Kapitalizm wszystko wyrównał. Po lewej pierwsze zabudowania: niskie i długie. Szpital chorób zakaźnych. Cóż, podobno wszystko na tym świecie ma jakieś znaczenie i świat jest ich pełen. Cała reszta to rynek, cerkiew, trzy kościoły i jeden w budowie, cztery szkoły średnie, ratusz, fabryka i rozmaite sklepy pomiędzy. Większość ludzi na ulicy mówi sobie „dzień dobry”. Po dziewiątej jest pusto i pomarańczowe od światła latarni ulice wydają się większe. Nicość jest bliska nieskończoności. W piątek większość ludzi między szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia siedzi poupychana w cztery albo pięć knajp o dziwacznych nazwach. Ci, którzy nie są większością, czyli cała reszta, piją w parku. Miasto jak miasto. Schematyczne do granic wypełnienia tego słowa dwudziestoparoprocentowym bezrobociem, napisami na murach, że gdyby Hitler wygrał wojnę, byłaby praca, szwendającymi się psami, dzieciakami i dyskoteką otwieraną w sobotę i niedzielę, bo piątek to post.

Kiedy wysiadłem z autobusu, nie miałem już nic powrotnego. Rozkład w moją stronę kończył się na szóstej. Może dlatego nigdy nie wróciłem?

W sklepie obok parku kupowałem fajki, tylko tam było jeszcze otwarte. Młode ekspedientki, uczennice technikum sklepowego lub zawodówki odbywające „praktykę”, wydawały się zniecierpliwione. Za kilkanaście minut kończyły pracę, wybiegały wprost w objęcia chłopców czy raczej młodych mężczyzn w sztucznych albo prawdziwych skórach. Wypachnieni dezodorantem „IceFresh” lub „Special Hot Body for Men”, zajeżdżali pod sklep czerwonymi maluchami z pomarańczowymi spojlerami i czarnymi felgami, z potencjometrem ustawionym prawie na full. To był znak. Jednostajne, atawistyczne bębnienie z amerykańskim słowem wplecionym pomiędzy sprawiło, że rytm serc sklepowych dorównywał muzyce. Sztuka łączyła się z duchem i ciałem.

Wino kupowałem wcześniej w sklepie na granicy. Mieli tam lepsze, większe i tańsze. W końcu musiało być romantycznie. Miłość, fajki i alkohol. *Omnetrinum perfectum*. Byłem fanem romantyki, wrażliwości i podobnych pierdół. W drodze widziałem siebie

jak Stachurę albo innego Hłaskę. Tyle że to byli staruchy, a ja nie. Przed siebie iść... No i nie szedłem przed siebie, tym bardziej nie jechałem w metafizycznym sensie tego zdania.

Trasa z góry ustalona, z miejscami i czasem przesiadek wytartymi w głowie. Te paczki fajek wyjarane po drodze, wypite wino i czasami napisane coś roztrzęsionymi literami na etykiecie odklejonej z butelki lub pudełku po papierosach pozwalały przeżyć jakoś tę noc i potem już nie brać wszystkiego do siebie.

Byłem dekadentem, byłem egzystencjalistą, byłem twardzielem, romantycznym kochankiem, menelem, włóczęgą i wydawało mi się, że każdy może dostać ode mnie po mordzie (to tylko przez jakiś krótki czas...).

Mimo że te podróże nie były takimi jak kilka lat wstecz. Wtedy kanarom wystarczył wygląd, zapach i ukraińska wódka kupowana za grosze na przemyskim barze. Robiliśmy zapas na jeden, dwa miesiące – ja z kolegą. Potem jeździliśmy po Polsce, Słowacji, Czechach prawie za darmo: stopem, pociągami osobowymi, pośpiesznymi, pierwszą lub drugą klasą, pociągami towarowymi, lokomotywami, wozami, pustymi węglarkami i czym się dało. Byłe każde rano było gdzie indziej i tak w ogóle to bez żadnej ideologii. Nie mówiliśmy, że jesteśmy jacyś tam i jeździmy, bo coś tam, że *carpe diem*, że egzystencjalne sratutatu, a Stachury wtedy jeszcze nie czytaliśmy. Jeździliśmy, bo tak było fajnie, bo można było czuć smak drogi, bo nic nie było takie jak u nas, a nasi koledzy jeździli raz na miesiąc do kilkutyśycznego miasta i to im wystarczało. Bo spotykane, nieznajome dziewczyny były świeże i wierzyły we wszystko, co się im mówiło: że uciekliśmy z domów, że poszukuje nas policja, że jesteśmy wędrownymi artystami i podobne dyrdymały. Dziewczyny miały niespotykany nigdy wcześniej kolor skóry, zapach, głosy i ubrania. Jednym słowem, wszystkie te powierzchowne banały, które dla młodych są kluczowe i wystarczają, żeby zapomnieć o tym, iż dziewczyny też robią kupę.

W kilku ważniejszych miastach kolega miał znajomych, którzy dawali nam jedzenie, ubrania, książki i pieniądze. Kupowali też bilety, bo czasami trafialiśmy na niepijących alkoholików lub wierzących konduktorów, którym książd dał w pokucie dwa tygodnie abstynencji. Byliśmy dwoma głupkami z prowincji, którzy przez całe dzieciństwo ganiłi po krzakach, krzycząc: „zabity” lub „raz, dwa, trzy za siebie”. Bawiliśmy się w policjantów i złodziei, Niemców i Polaków, kowbojów i Indian. Dualność świata objawiała się w ciągłym dzieleniu rzeczy i spraw. Wszystko było albo dobre, albo złe. Polaryzacja rzeczywistości ograniczała wybory do prostego powiedzenia: tak lub nie. Przez prawie całą młodość istniały tylko dwie drogi i dzięki temu życie wtedy ograniczało się do stawiania jedynie takich pytań, na które istnieją jednoznaczne odpowiedzi. Dopiero potem nauczyciele, pierwsze miłości i tytuł książki Nietzschego uprzytomniły nam, że jest jeszcze coś poza lub pomiędzy, że wybór jest nieskończony i nie oznacza to po prostu wolności. Trzecia droga była wątpleniem w podstawowe aksjomaty, wahaniem przed odpowiedzią na najprostsze pytanie, nieograniczoną możliwością kłamstwa i przemieszaniem czerni z bielą. Dwa określenia powoli nie wystarczały do opisania wszystkiego.

Kiedy podrośliśmy, dalej włączyliśmy się po krzakach, tyle że dom i rodzinna miejscowość zostawały coraz dalej. Zapuszczaliśmy się w prawie każdą wieś, gdzie stoi lub stała drewniana cerkiew czy kamienne krzyże. Potem jeździliśmy, gdzie tylko się dało, ale wszystkie noce na wylotówkach obcych miast, zapychanych stacyjkach kolejowych były jak noce, w których chodziliśmy od jednej cerkwi do drugiej. Jak zwykle papierosy, wino i zmyślane opowieści o zarwanych „dziuniach”, wszystkim i niczym, „grupa etniczna czy naród”.

...

Teraz byłem czysty, ubrany w spodnie bez łąt i wyprany polar. Ani jednej dziury. Miałem krótkie włosy i wydawało mi się, że jestem choć trochę mądrzejszy, ale właściwie ludziom zawsze się tak wydaje. I byłem sam, co najważniejsze. Wspomnienia były jak obejrzany dawno film, z którego pamięta się jedynie pojedyncze obrazy, miejsca i strzępki dialogów.

Pół godziny mijano w czekaniu na dwunastkę – autobus czerwony jak w piosence Szpilmana. Czas zwalniał, przyspieszał, rozciągał się i zwężał. Podczas podróży czas nabiera materialnych kształtów, można go posmakować i poczuć opuszkami palców, jeżeli nie ma mrozu. Czasami dosiadali się ludzie, a ja chyba modliłem się, żeby nie spotkać nikogo znajomego, modliłem się, żeby nie pojawił się jakiś drobny pretekst usprawiedliwiający hipokrytyczną podświadomość przed spóźnieniem się na pociąg. Przez te kilkanaście minut przed odjazdem starałem się być obok wszelkich wydarzeń, doznać nirwany, być obojętnym na wszystko: cierpienie, radość – wszystko, co mogłoby oswobodzić sumienie z późniejszych wyrzutów. Z drugiej strony strasznie chciałem jechać, przybliżyć się jak najbardziej realnie – z każdą miarą czasu być coraz bliżej. Wtedy wypalałem najwięcej papierosów. W kieszeniach kurtki miałem zawsze jedną pustą paczkę na wypadek, gdyby jakiś menel sępił ode mnie fajkę. Wcześniej przyjeżdżała jedynka – autobus do królewskiego miasta, które dawniej było przez chwilę stolicą Polski, a potem stolicą podkarpackiego metalu. Ale wszystko mija. Wszystko marność. Metale podrastali, przycięli włosy, nałożyli czerwony, ekstramocny żel i posiadali w maluchy, aby pojechać do swoich sklepowych dziewczyn. Ci, którzy zostali wierni ortodoksyjnej doktrynie, są jak pokomunistyczne pegeery: smutne, szare i nieliczące się w nowym świecie. Po jedynce miałem jeszcze pięć minut. Nie pamiętam jazdy podmiejskim autobusem, myśli były już całkowicie zaabsorbowane tym, co trzeba będzie zrobić, kiedy menkol dojedzie już na miejsce.

Przed stacyjką stały trzy lub cztery latarnie. Całą noc walczyły z nacierającym gęstym mrokiem. Odgłosy były charakterystyczne. Syk. Stukot. Jak z wiersza Brzechwy. Dworzec był za mały, żeby kręcili się po nim sokiści, tylko kilkoro ludzi, a tak naprawdę to nikt. Tory lśniły posmarowane esencją czerni. Czasami przechodził jakiś pracownik ubrany w mundur albo strój roboczy. Ci drudzy z długimi czekaniami sprawdzali hamulce w wagonach stojących na jednym z dwóch torów. Stacyjka pogrążyła się w marazmie, była jak widmo i zaczynało się wątpić w sens istnienia takich słów, jak „realność”,

„dzień” czy zwyczajne „życie”. Tu i teraz stawało się jedynym światem, terażniejszość jedynym czasem, rzeczywistość kondensowała się w ramy kilku zabudowań, wagonów, torów i jednego peronu. Dopiero kontakt z kobietą sprzedającą bilety uzmysławiał cel i wszystko, co istnieje poza chwilą. Jej wygląd – rasowej komunistycznej baby ze sklepu mięsnego, z makijażem zakrywającym prawdziwy koloryt jej skóry i nadającym jej ustom podobieństwo do murzyńskich sprinterek na kilka centymetrów przed metą, osadzał w tronie realności – czymkolwiek by ona nie była. Po starym, widocznie nie do końca zużytym sposobie liczenia czasu pozostała jej mądrość czy raczej przenikliwa inteligencja. I zawsze prawie musiałem czekać, bo akurat z kimś rozmawiała. Za telefony wewnętrzne PKP nie musiało płacić, a tak się złożyło, że w sąsiedniej stacji pracowała sąsiadka, a noce takie długie. Po kilku minutach, kiedy już sobie pomruczała, że muszą akurat jechać tak daleko, jakby nie można było bliżej, dostawałem dwa świstki koloru zielono-białego z reklamą szamponu i środka przeciwbólowego na rewersie, a kasjerka się obrażała.

Potem była już tylko niepewność, czekanie na osobowy i liczenie minut. Pośpieszny czekał od za piętnaście jedenasta kilka stacyjek dalej. Pociąg, który mnie na niego zawoził, prawie zawsze się spóźniał i nigdy nie wiedziałem, czy resztę nocy nie przyjdzie mi spędzić na peronach lub ewentualnie w całodobowym barze Warsu.

Przez tory przechodziło się metalowym wiaduktem. Pełna rurek, barierek, czystego metalu, śrubek i śrub, bolców oraz nitów konstrukcja nijak się miała do wąskiego pasma torów, a wszyscy przechodzili i tak obok, bo nikomu nie chciało wspinać się po czterdziestu trzech schodach. Widok ze szczytu bezpiecznego przejścia pełen był migotliwych światełek szosy i miasta, pnących się torów oraz przewodów sieci energetycznej i tysiąca innych drobniaków, które wyglądają tak samo.

W osobowym na coś się czekało, wewnątrz tliła się jeszcze niepewność, czy aby resztę nocy nie spędzi się, usiłując zasnąć na peronach, stojąc w miejscu. Rzadko było wiadomo na pewno i właściwie nie powinno mnie to dziwić, bo wszystko wyglądało, jak gdyby świat się skończył w dzień, a Bóg zapomniał o kilku drobniakach do kasacji. Reszta pasażerów sprawiała, że czułem się jak aktor w jakimś postmodernistycznym filmie. Czerwone, popuchnięte twarze skraplały się od nieznośnego gorąca. Z ogrzewaniem w pociągu jest jak u Kierkegaarda: albo – albo. Przekleństwo kontrastów. Kiedy było zimno, marzyłem o gorących i dusznych oparach, chciałem nie móc oddychać z gorąca, pocić się i poddać błogiemu ciepłu, chciałem kłąć na grzejniki i kanarów. Zimą czasami coś się psuło, wysiadało elektryczne ogrzewanie czy coś podobnego – właściwie nikt nie wiedział co. Nie było takich ludzi, którzy mogliby wiedzieć cokolwiek, bo żadna wiedza nie istniała. Ledwo mgliste wyobrażenia i mantra stukotu dokładniejsza niż czas.

Ale czasami marzenia się spełniały, ktoś przypomniał sobie o ukrytym włączniku, przepustce do zaspokojenia zminimalizowanych pragnień i marzeń – robiło się cieplej. Na początku nie można było uwierzyć, a człowiek bał się poruszyć, żeby nie zrobiło się zimniej. Potem następowała kilkunastominutowa faza szczęścia i miłości do ludzi.

Zimno, jakże by inaczej, przestawało istnieć, wymykało się poza możliwości rozumienia. Ale na zaspokojeniu się nie kończyło: ciepła przybywało, coraz więcej gorąca wypełniało przedziały, aż robiło się ono duszne i namacalne. Przylepiało się do skóry twarzy, pleców, brzucha, człowiek drętwiał, włosy stawały się mokre, mowa – bełkotem, siedzenia parzyły, a powietrze robiło się zbyt gęste do oddychania – wolno przechodziło przez krtań i przy każdym oddechu można było wyczuć jak fala gorąca pompuje płuca.

Ale w osobowym realność utrzymywała się jeszcze na poziomie normalności. Rzeczywistość nie wyzbyła się tych wszystkich drobnych wydarzeń i ludzie wciąż pamiętali o duperelach. Dopiero wraz z przybliżaniem wszystko, co nie było związane z podróżą, blakło i powoli przestawało istnieć. Ci, którzy nie przesiadali się na ostatniej stacji na pośpieszny, wykuszali się po drodze. Ludzie powracający z pracy, drobni pijaczkowie, całkiem przyzwoici ludzie i właściwie wszyscy normalni, bo impreza zaczynała się dopiero w pośpiesznym. Często jechałem sam i pociąg był wtedy widmem, nawet kanar nie łaził i musiałem sam go szukać, żeby zgłosił załodze pociągu oczekującego, że mają na mnie czekać. To dowartościowuje. Poważna instytucja, sprywatyzowana firma, rozkład jazdy drukowany w setkach tysięcy egzemplarzy, kobiece głosy na stacjach przepraszające za opóźnienie pociągu. Ci wszyscy siedzący w pierwszej klasie, buraki i snoby zdenerwowane, że gdzieś się spóźnią, kilka wagonów i lokomotywa opóźniona przez resztę Polski, bo czekała na mnie prawie godzinę. Dobrze, że maszyniści, kanary i zawiadowcy stacji to romantyczni ludzie. Kiedy natłuszczałem im sytuację, o co chodzi i w ogóle, puszczała pociąg okrężną trasą, żeby nie czekał na mnie zbyt długo, pospieszali osobowy, stawiali na głowie i robili wszystko, co w ich mocy, żebym tylko zdążył na pośpieszny.

Osobowy jechał około czterdziestu minut, zaliczając po drodze wyłącznie wsie i małe stacyjki. Kiedy w oknie było widać świecący krzyż na górcie, już się dojeżdżało. Za pierwszym razem myślałem, że to cud. Ciemność i objawiony, płonący krzyż, porażony nasłuchiwałem trąb, ale to tylko przez chwilę, bo potem trzeba było wysiadać i biec do pociągu obok. Ludzie w nim czekali na mnie. Kiedy wsiadałem – ruszał. Nie zawsze jechałem sam, czasami ktoś jechał do pracy i był ubrany w dżinsową kurtkę i spodnie nabijane ćwiekami, czasami matki i dziewczyny ubrane w eleganckie kostiumy z bagażem reklamówek i kwadratowych toreb jechały na przysięgę, czasami jakiś bogaty, młody turysta wracał nocnym do cywilizacji. Kiedy wsiadałem do pośpiesznego, miałem już w kieszeni osiem godzin spokojnego, niezależnego ode mnie przybliżania się w upragnionym kierunku. Wtedy też się zaczynało.

\*\*\*

Na samym początku nie wiedziałem, że w pociągach pośpiesznych dla palących przeznaczone są pierwsze przedziały w wagonach, licząc od lokomotywy. Drugi warunek, nie zawsze konieczny, to istnienie popielniczek, bez nich można być pięćdziesiąt albo nawet stówę do tyłu. Chwilę się kręciłem, przechodząc cały skład i szukając odpowiedniego miejsca. Najfajniej było w pierwszej klasie. Ludzie płacili drugie tyle za czerwony kolor wagonu i czasami niepozrywane firanki. W „dwójce” zazwyczaj były pozrywane.

Musiał to zrobić jakiś miłośnik kolei lub pracownik na emeryturze stęskniony za pociągami, bo zastony są upstrzone emblematami PKP. Przed świętami, feriami lub po nich, generalnie w czasie, w którym kwiat narodu nie musiał chodzić do szkoły, pociąg był pełen kolorowych, markowych kurtek, nart i obściskujących się par.

Pociąg zaczynał swój kurs w modnej miejscowości górskiej, więc w sezonie jechało nim sporo turystów. Dzieciaki wykorzystywały ostatnie chwile niemal absolutnej wolności od rodziny, pijąc piwo lub jarając trawę po kiblach. Dziewczyny chodziły chwiejnie od przedziału do przedziału, siadały na kolanach chłopców, ktoś miał gitarę i wszyscy byli zadowoleni. Pociąg w samym środku podróży przypominał wtedy XXVII pieśń *Narrenschiff Branta. Potatoes et edaces*.

Okolo czwartej wszyscy już spali i mogli przyjść złodzieje. Pracowali najczęściej w piątkę lub czwórkę, w tym ponad połowa – samym wyglądem. Dwóch stało w przejściu między wagonami, czając się na konduktora, jeden albo dwóch obok wejścia do przedziału, tak żeby widział ich pasażer, kiedy ewentualnie się obudzi, jeden wychodził. Czasami brali całe plecaki, przepatrując w kiblach kasy, kamer, aparatów, dyskmenów, łokmenów i wszelkiego dobra materialnego. Resztę wyrzucali – chyba że sam plecak był coś wart. PKP walczyło ze złodziejami, psując okna w kiblach tak, żeby się nie otwierały.

Były takie stacje, na których ekipy regularnie wsiadały, więc jeśli ktoś wiedział, więc jeśli ktoś wiedział, o co chodzi, wiozł ze sobą budzik i spał tylko do tej stacji. Mnie to nie dotyczyło – nic ze sobą nie miałem, a swoją skórzaną torbę specjalnie otwierałem, żeby nie wzięli mi jej całej, paszport i bilety trzymałem między spodniami a majtkami, więc chyba poczułbym, gdyby ktoś chciał mi je zabrać. Mogłem przespać choć część nocy. Przed wysiadką skacowane dzieciaki z paniką w oczach chodziły od przedziału do przedziału, szukając plecaków i straconego czasu. Nie powiem – czasami mnie to bawiło, bo te snobistyczne małolaty zazwyczaj same były sobie winne. Czasami złodzieje ewidentnie przeginali – zimą kradnąc kurtki czy nawet buty. Dziewczyny płakały, a chłopaki w samych skarpetkach nie mogli nawet udawać twardzieli.

Ale przez cały zwyczajny rok pociąg stawał się przeciwieństwem tego składu pełnego gwaru i śpiewów niczym jakiś statek miłości. Dźwięk stukotu dominował nad wszystkimi pozostałymi i jeśli ktoś siedział sam w przedziale, zamyślał się i medytował, nawet o tym nie wiedząc. Kiedy wychodziłem na papierosa, często widziałem ludzi zapatrzonych w czarne okno, z twarzami skupionymi na własnych problemach. Rytm uruchamiał nieużywane części umysłu i nawet prosta sprzątaczką, jadąca na przysięgę do syna, zastanawiała się nad sensem i celowością życia. Czarne okna były granicą poznania, wystawiając poza nie głowę, doznawało się ekstatycznych przeżyć. Huk się nasilał, a pęd ogarniał wszystkie zmysły. Kształty kryły się w rozmażanej, ciemnej masie splątanych gałęzi, światła miast, okien przytorowych domów, billboardów. Szybkość mieszała elektryczną jasność z ciemnością natury – synteza przyrody z techniką. Świat stawał się znów jednością, dokonywała się apokatastaza i kiedy już wszystko miało powrócić do stanu sprzed stworzenia, zmysły nie wytrzymały zbliżającego się metafizycznego orgazmu,



a dźwięk i wiatr stawały się nie do zniesienia i trzeba było cofnąć głowę do dobrze znanego świata, który zamykał się w bezpiecznym prostokącie.

Po dwóch godzinach robiło się płasko, góry zamieniały się w pagórki, a te z kolei rozplaszczaly się w równinach. Czasami noce były jasne i rzeczywistość przypominała obraz w starym, monochromatycznym telewizorze. Tak samo odległa, abstrakcyjna, niewyraźna i szumiąca. Przybrudzona szyba oddzielała od świata i zarazem z nim łączyła.

Zaraz przed większymi stacjami paliłem kilka popularnych, kupionych specjalnie na tę okazję. Przedział był zadymiony i nikt się nie dosiadał. Potem otwierałem okno. Ryzyko tkwiło w tym, że jak ktoś już się zdecydował siedzieć ze mną, był to zazwyczaj jakiś żul. Ale to rzadko. Najczęściej wchodziłem do pustego przedziału, dopiero gdzieś przed końcem ktoś się dosiadał.

Czasami tylko trafiali się współpasażerowie na całą noc. Z jednymi jechałem aż do siebie, przy nich można było spokojnie iść do ubikacji, nie taszcząc ze sobą torby i kurtki. Najpocziwsi byli robotnicy jadący na budowę. Zawsze mieli alkohol, czasami domowej roboty. To byli dobrzy ludzie. Zazwyczaj przypakowani, o ostrej aparycji, z bliska okazywali się potwornie pocziwi i niewinni, jeśli by tak można rzec. I nie mądrzyli się, a jeśli czasami po wypiciu ktoś poruszał jakąś fundamentalną kwestię, zazwyczaj robił to z rozbrajającą niewinnością Józefa Szwejka.

Przed Wigilią i sylwestrem Kuba jechał pilnować budowy. Twarz przypominała mordę, a wysoki był na dwa metry. Wiózł chyba z dziesięć flaszek szwagrowego wina ze śliwek. Było słodkie i gęste jak świeży miód. Wyciągnął i spróbował pierwszy, że nie zatrute. Wypiliśmy dwie, bo był dopiero dwudziesty trzeci, a Kuba miał spędzić na budowie Wigilię, święta i sylwestra. Upiliśmy się na świątecznie, od lepkiego płynu człowiek mógł się stać tylko miły i przyjazny. Pociąg wolniej się kołysał, oparcia nabrały delikatności i percepcję ogarnął zlepiający i gęsty błogostan. Wysiedliśmy razem, życząc sobie powodzenia. Wszystko było zwyczajnością.

Trudno ich sobie przypomnieć, tak samo jak trudno przypomnieć konkretne fragmenty czasu rozgrywającego się w zamkniętej przestrzeni nocnego pociągu.

To musi być różne, każda przestrzeń oddzielająca ludzi od reszty zmienia czas. Każde oddzielenie jest pozbawieniem pewności zdarzeń, jaką osiągamy otoczeni zwyczajnością i schematem. Gdy jest się chociażby za murem, zmieniają się punkty odniesienia. Czas poza czasem. Ale potem wszystko wraca i wydaje się wydawaniem. Przestrzeń każe zapomnieć o ścianach, racjonalizm wbija w trzon złożony z przyczynowo-skutkowych, dupelelowatych błędnych kół. W przeszłość zapisują się jedynie ciągi możliwe do zaistnienia w przyszłości. Miniona reszta, która była wyjątkowa, jest zbyt trudna do emocjonalnego zapamiętania. To tylko obrazy, dźwięki, strzępki.

Gdzieś na dwie godziny przed świtem, kiedy noc z ciała płynnego krzepła już w substancję stałą, by powoli resublimować w powietrzu i ziemi, umysł stawał się odpowiednikiem przyrody. Myśli traciły kontury, pojedyncze, konkretne wyobrażenia zlewały się w semantycznie pustą papkę, sen przewycięzał mięśnie powiek i całego ciała.

Świat się rozpuszczał i wyglądał jak plastelinowe kreskówki. Człowiek zasypiał, budził się, tracąc rozróżnienie między jednym a drugim. Czas przestawał płynąć jednostajnie, a zmysły przejmowały bodźce bezpośrednio od myśli. Wreszcie dźwięki się oddalały i na sekundę wszystko przestawało być. Można było spać i otwierać na krótko oczy. W niczym to nie przeszkadzało, a kiedy ktoś wchodził do przedziału, najlepiej kiedy się podnosiłem, udowadniając, że wcale nie śpię, a jedynie przeczekuję. Ten sen był jedną wielką maligną. Kiedy już się z niej wyrwałem, za oknem szarzało, a wszechobecny stukot powoli przypominał... Byłem mokry i nieświeży, co stawało się największą zmartówką. Z domu wychodziłem wypachniony, ogolony i w ogóle jak z salonu odnowy biologicznej. Żal ścisnąć, kiedy znów do ciała przylepiało się brud, a palce po przetrzymaniu kilkudziesięciu papierosów kolorowały się na żółto i zalatywały popielniczką. Woda w kolejowych kablach była normalna, ale same kable jak najbardziej – nie. Zazwyczaj wychylałem się przez okno prawie do pasa. Kilka minut i odświeżało się lepiej niż jakimś „brizem”.

Przed samym końcem bywało różnie. Denerwowałem się lub nie, to już nie zależało ode mnie. Osadzałem się na tronie, przylepiało się do mnie o wiele więcej myśli – wspominałem. Wybiegałem w przyszłość, zastanawiałem się, jak to będzie z tym wszystkim i czy aby nie będę musiał wracać jeszcze dzisiejszym pociągami. Jedna niewiadoma. Ale jak się już ją ma, do reszty można dojść. Kilka rzeczy wiedziałem na pewno. Proste równanie. Mimo że sedna, których byłem pewien, w żaden sposób nie dało się połączyć z celem podróży, same w sobie stanowiły rodzaj imperatywu. Mimo że czasami wątpiłem, na razie wtedy były i to jeszcze w stanie czystym. Tego starałem się trzymać – pewności. Z jednej można wyciągnąć resztę. Niektórzy nie mają nawet tyle, bo próbują czepiać się czegoś, czego nigdy stwierdzić się nie da, a jeśli tak, to zawsze pojawi się w końcu wątpliwość. Najlepiej mają ci, co w ogóle o tym nie myślą.

Cała ta jazda przez noc – „podróż do jej kresu”, wszystek czas wypełniony wydarzeniami, które równie dobrze mogłyby nie istnieć naprawdę, teraz się oddalał. Odchodził, przycmiony przyszłością i pięćdziesięcioma dwoma najbliższymi godzinami bez żadnych zbędnych myśli i gadania. Pięćdziesiąt dwie godziny wypełnione najśrodkszą normalnością, życiem ludzi, na których z zazdrością patrzyłem jako dzieciak. Pięćdziesiąt dwie godziny bez wstydu, brudu i strachu. To była nagroda. Wszyscy byli mili, a ja czułem się jak w amerykańskim filmie familijnym. Było dobrze i sielankowo.